Tom V. Nr. 2.

11. Lipca. 1861.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Miłość ojczyzny.

Na białej chmurce zlecieli trzej Anieli z nieba wysokiego, i na biednej ziemi od jednego domu do drugiego szukali człowieka najcnotliwszego. I szli od pola do pola i od drogi do drogi, i ujrzeli jak jeden żebrak ubogi zdejmował płaszcz ze siebie dziurawy, i cały żalem łzawy kładł go na drugiego od nędzy aż nagiego. Więc jeden Anioł się zatrzyma i smętnemi spoglądał oczyma, i łzy ociera i rzecze:

— Patrzcie moi druhowie, niebiescy Aniołowie, to człowiek najcnotliwszy! —

A drudzy dwaj mówią:

— Chodź z nami bracie dalej, będziemy szukali jeszcze cnotliwych. I szli Aniołowie od drogi do drogi, i od sioła do do sioła, i ujrzeli chatę w płomieniach do koła, i wielkie im zdziwienie, bo oto matka rzuca się w płomienie za swojem dzieciątkiem niebożątkiem. Więc przystaną dwaj bieli Anieli, rąbkiem sukienki niebieskiej czyste zbierają łezki i rzekną:

— Widzisz nasz druhu biały, oto niebieskiej chwały godna matka owa, jako najcnotliwsza!

A trzeci tak się odezwie:

— Chodźcie bracia ze mną dalej, będziemy szukali jeszcze cnotliwych. — I szli Aniołowie od sioła do sioła i od rzeki do rzeki, i ujrzeli na ziemi człowieka z zamkniętemi powieki: leżał kurzem odziany, w piersiach miał trzy rany, a z nich ciekła krew z serca wytoczona, a czerwona jak korał. Więc przystaną wszyscy trzej Anieli, i łzy jasne w oczach mieli, a włosami je ocierając i łkając tak rzekną:

— Oto na ziemię tego człowieka przypadli wrogi z daleka, i sąsiadów jego zabili i dobytek ich spalili, i zabrali niewiasty i dzieci słabe. A choć on wyszedł cało, i jego rodzinie i dobytkowi nic się stało: toć przecież odbiegł dzieci i żonę, a wziął do ręki żelazo ostrzone, i zwołał w imię Boga innych ludzi, i poszedł na wroga. Więc z wrogiem mężnie się potykali, i z ziemi go wygnali. A on gdy najmężniej bił się za kraj kochany, otrzymał w pierś trzy rany, i upadł krwią zbryzgany. Cieszcie się bracia w niebie, to człowiek najcnotliwszy!

I polecieli trzej Anieli po wodę do rzeki, i obmyli żołnierzowi bladą twarz i powieki, a gdy dusza czysta z niego wychodziła, to radośnie skrzydełkami biła, i w górę leciała. A radośni Anieli wzięli ją między siebie, i lecieli gwiazdami, obłokami, i utonęli w niebie.

Tam w niebiesiech, śród Anielskiego grania i śpiewania i cichego pacierza, mówiła Najświętsza Panna do duszy żołnierza:

— Chwała tobie chwała, duszo biała, bo dostępujesz zbawienia wiecznego. Cnotliwy człowiek co ma miłość dla bliźniego, cnotliwa matka co życiem swojem broni życie dziecka swego, lecz najcnotliwszy człowiek co w każdej godzinie ojców ziemi od wrogów piersiami swemi broni, i za swych braci ginie: bo jako dąb między drzewami, tak między miłościami największą jest miłością święta *miłość ojczyzny!*

Najpiękniejsza dziewczyna.

Najpiękniejsza dziewczyna, gdy przy matki kolanie
Wtórzy: Boże, o Boże; potem: Panie, o Panie,

Zmiłuj-że się nad krajem, zmiłuj-że się nad krajem,
We łzach cichej modlitwy wciąż przed Tobą się kajem.

Najpiękniejsza dziewczyna, kiedy nikt jej nie widzi,
Kiedy płacze i skacze, i tego się nie wstydzi;
Nie wie czemu wesoła, nie wie czemu i smutna,
Śmieszka, ptaszek, śpiewaczka, swawolnica okrutna!
Bez muzyki tańcuje po murawie trawnika,
A naco jej muzyka? Ona sama muzyka!
Dzieci za nią i przy niej, bo nic złego nie czyni,
Więc jak tylko wyleci, towarzyszą jej dzieci,
Skaczą polne koniki w bujnych trawach spłoszone,
W czystej wody przeźrocza skaczą żabki zielone;
Wszystko pierzcha na stronę przed dziewczyną wietrznicą,
A słoneczko aż pali, tak całuje jej lico.
Przelecieli do sadu, jak gołębie na daszek,
Najprzód ona i dzieci, potem motyl i ptaszek;
Same kwiaty się mnożą, same wiśnie się rodzą,
Za nic Boże z ogrodu piękną pannę wywodzą.

Najpiękniejsza dziewczyna, gdy ją jakiś żal bierze,
Zamyśli się, zawzdycha, i zapłacze tak szczerze...
Nie za światem, nie za tem, bo jej dobrze u mamy,
Lecz że pierwszy raz widzi, że coś tęskno jej samej.
I choć mama kochana, ale ... otóż to ale,
Lepiej o tem nie myśleć, nie zajmować się wcale!
Zadzwonili z kościoła, ciszej w sercu panience,
Pochyliła swą główkę i złożyła dwie ręce,
I na chwilę się stała taka piękna, tak biała,
Jakby z nieba nie z ziemi, jakby z chmurki nie z ciała.

Najpiękniejsza dziewczyna, gdy u stopni ołtarza —
Tego oto małżonka bierzesz — biorę — powtarza,
A serduszko to stanie, to gwałtownie zapuknie,
Oj serduszko niedobre, aż je widać przez suknię!
Zamienili pierścionki, dwa ze złota pierścionki,
Ten na palec małżonka, ten na palec małżonki;
Gdy ksiądz wiązał ich stułą, co to serce nie czuło!
Z niego życie się będzie jakby złota nić snuło.
Przytem Polka serdeczna, wierszy umie tysiące,
W obraz ojca żołnierza zawsze patrzy jak w słońce:

— Kiedyż, kiedy zza góry błysną nasze mundury?
Kiedyż przyjdą zdaleka Krakowiacy, Mazury?
Szarpiją będę skubała, chorągiewkę uszyję,
I wydam się za tego, co Moskali pobije. —

Teofil Lenartowicz.

Wieczorna gawęda

Grzesia z Mogiły.

Ha no, i ja stary znajomy opowiem wam dziwną przygodę, jaka mi się lat temu kilkanaście, w drodze przytrafiła. Żeby to była czysta bajka na nic nikomu nie przydatna, to by nie warto i wspominać o niej; aleć, że może ztąd niejednemu będzie nauka, więc posłuchajcie kto łaskaw.

Jako już rzekłem, lat temu kilkanaście, kiedy mi raz wypadło ruszać w przydalszą nieco drogę, a taka była ku temu przyczyna: W ruskiej ziemi aż wedle Przemyśla, zmarł stryj mojej kobieciny, gospodarz zasobny, a wdowiec bezdzietny, który owóż cały swój dostatek na moje dzieci, jako też na najbliższe krewniaki zapisał. Dziwno wam to pewnie: zkąd się stryj mojej kobieciny aż het na Rusi wzięli? No ale o tem dużoby gadać; więc wam kiedy osobno opowiem, a teraz dość będzie wiedzieć żem miał jechać tę spuściznę po stryju odebrać, i ładowałem się jak się patrzy do tej długiej drogi. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że z Mogiły, kędym rodzic, będzie z dobrym okładem mil trzydzieści do miasta Przemyśla, a z tamtąd jeszcze półtrzeci mili do onej wsi, gdzie pomarli stryjek mojej żony.

Jak dziś pamiętam, było to po wszystkich co pilniejszych robotach w polu, bo już blisko połowy miesiąca Czerwca, a w drugi dzień po świętej Małgorzacie, co sobie także dobrze przypominam, bo mojej kobiecinie na imię Małgorzata, więceśmy w dzień ten ze sąsiadami wesoło choć spokojnie się pobawili. Ranek był śliczny jak Opatrzność Boska; po bujnej pszeniczce stała rosa aż biało, ptaszkowie niebiescy podlatywali już w niebo ze swoją śpiewką poranną: kiedy mój Franuś założył konie, i dawał im z ręki jeszcze trochę siana przegryźć, napo-

iwszy w potoku. Ja niechwalący się, śpiewałem sobie godzinki do Najświętszej Panny, i trzos opasywałem na niebieskiej kamizeli, i płótniankę wdziewałem na siebie; a moja zawijała tymczasem w płachtę niedzielną przyodziewę, żebym się miał przecie w czem pokazać między Rusinami. Smutno mi było wybierać się w tę drogę, boć to przecie ze dwie niedziele, myślę sobie, zabawić będzie trzeba, zaczem człowiek do ładu wszystko przyprowadzi. Więc mi też jeszcze markotniej się zrobiło, skorom ujrzał że już wszystko gotowe, a konięta aż nogami grzebią od niecierpliwości.

— Zostajże z Bogiem moja Małgoś! — odezwę się do żony, skórzaną torbę przerzuciwszy przez ramię. — Niechże tu pan Jezus ma was i całe obejście w swej łaskawej opiece!

A nato żonisko dobre rzuciło mi się na szyję, i łzy jej z oczu puściły się sznurkiem. Ja pocałowałem ją w czoło, a potem poszedłem do kołyski, kędy spała Zosieczka, mój drobiazg kochany, bo jej nie więcej jak pięć miesięcy było wtedy. Biedactwo maleńkie śmiało się we śnie do Aniołków; więc je ucałowałem w różowe jagody, a potem z westchnieniem przeżegnałem po białem czołku, myśląc w duszy:

— Panie Boże, dajże temu robaczkowi wzrastać szczęśliwie, na pociechę twoich sług niegodnych.

Jeszcze raz uściskałem moją kobiecinę, i krzepkiego Franusia, zrobiwszy biczyskiem krzyż święty przed końmi, siadłem na wóz i zaciąłem, bo i mnie zaczęło się coś kręcić i migać, jak gdyby łzy w oczach.

Raźno ruszyły konie z miejsca; ja spuściłem głowę, a potem podniósłem oczy do nieba i westchnąłem, a skorom wjeżdżał już na bity gościniec, tom się oglądnął na własną chałupinę, aby ją jeszcze choć oczyma pożegnać. I dobrze-m zrobił żem się oglądnął, bo oto widzę Małgosia moja biegnie, i macha fartuszkiem żebym się zatrzymał. Stanąłem, niewiedzący co to ma znaczyć.

— Grzegorzu! toć szkaplerza nie wziąłeś na szyję — zawoła moja z daleka, podnosząc szkaplerz w ręce.

Chwyciłem się za piersi, za szyję, a prawda, nie ma szkaplerza com go dostał po matce, i od jej śmierci ani na chwilę

nie zrzucał ze szyi. Więc co rychlej biorę go od Małgosi i wieszam na sobie.

— Bądźże mi zdrowa! — rzekłem i ruszyłem dalej.

— Wracaj z Bogiem! wołała Małgoś za mną, prowadząc jeszcze oczyma het, aż na koniec wsi.

Nie chciałem ja żonisko moje straszyć, więcem nic nie wspominał, ale mi jakoś dziwno było, żem prawie pierwszy raz zapomniał szkaplerza.

— Hm, — myślę sobie — czy też jakie nieszczęście nie trafi mię na drodze? — Ale wnet wybiłem sobie z głowy takie do niczego myśli, i zdawszy wszystko na wolę Boską, jąłem znów śpiewać godzinki.

Cóż wam mówić o drodze? Jechało się ot, jak zwykle! Konięta w chłodku rannym wyciągały się jak zające; a jakem zawołał: he, heta, wiśta! — to jeno strzygły uszami, spuszczały głowy i dalejże w nogi! Nie ma też co wspominać, gdzie i jakem stawał, czy to na popas czy na noc, bo za łaską Pana Boga nic mi się dziwnego ani przykrego nigdzie nie przytrafiło, a jak mi czasem jaka niewygoda była, tom sobie spomniał, że: *kto chce furmanić, nie może drogi ganić*, i jakoś zaraz było mi lepiej we wszystkiem. Nieraz się podróżny trafił, tom go podwiózł milkę albo i dwie, i tak bez przygody stanąłem na miejscu trzeciego dnia nad wieczorem.

Pierwszy ja to raz byłem wtedy na Rusi, więc zrazu jakoś nieśmiało i dziwno mi było zaczepiać ludzi, bo też i trochę inaczej od nas mówią; ależ skorom się raz i drugi przysłuchał, i sam potem gębę otworzył, tośmy jakoś przecie po bożemu się rozmówili, i jeden z drugiego łatwo wyrozumiał czego potrzebuje. Powiadali mi także nasi jakem wyjeżdżał, że Rusini, to zły bardzo naród, że każdy z nich mrukliwy, a taki w gniewie zacięty żeby cię duchem na cztery wiatry rozniósł. Więc też ja bałem się z nimi kumać, a gdzie się tylko zdało, tom zrazu obchodził zdaleka; ależ skorośmy się potem bliżej zaznajomili, toć człeku poznałem jako żywo, że to naród taki sam jak my, jak kropla do kropli wody, jak brat do brata podobny. Więc też nie źle wiedło mi się między nimi, i całą sprawę ze spuścizną po stryjku nieboszczyku bardzo dobrze skończyłem,

jeno co mię dużo po urzędach wywodzili: od jednego do drugiego, od Anasza do Kaifasza. Ztąd też dłużej mię ta rzecz zabawiła, niżem sobie myślał wyjeżdżając z domu; toż po dwóch tygodniach napisałem list do mojej kobieciny, żeby była spokojna, że wszystko dobrze idzie, a sam zostałem się jeszcze tydzień. Otóż i przez ten tydzień było dużo roboty. Sprzedałem zagrodę po nieboszczyku i chudobę, jeno co jednego konia tęgiego a młodego do swoich przyprzągłem; chusty co były i kożuch nowy wziąłem ze sobą, zabrałem też i obrazki z izby, Małgosi na pamiątkę po stryjku.

Trzeba było widzieć, jak mię wszyscy ściskali i żegnali skoro przyszło wyjeżdżać! Poczciwi ludziska! wypuścić mię od siebie nie chcieli, i Bogiem a prawdą powiem wam, żem więcej niż zwykle piwa i miodku wychylił, niezem mi na wóz wsiąść pozwolili.

— Zostajcie z Bogiem!

— Jedźcie z panem Jezusem! — odrzekli owi, i takeśmy się rozjechali.

Przyznam się, że choć ruszyłem do domu, do żony i do dzieci, toć przecież jakoś cięzej było mi teraz jechać jak z domu. Prawdę to mówią ludzie: *mokry nie boi się deszczu, a goły rozboju:* więc i ja skorom sobie jechał z domu, nie mając jeno tyle co dla siebie, tom był swobodny i nie bałem się niczego, chyba samego pana Boga; a teraz żem miał trochę grosiwa w trzosie, to się człowiek kulił i oglądał żeby tylko cało zajechać, i trzos dowieść szczęśliwie do domu.

Było już blisko południa gdym wyjechał od Rusinów, toż ledwie do Nienadowy zaciągnąłem pod noc; a że było ciemno i pochmurno, więc pomyślałem sobie: — Strzeżonego, pan Bóg strzeże, wolę tu zanocować — i zajechałem do Nienadowskiej karczmy, co stoi wielka i murowana przy bitym gościńcu.

— Jakoś pan Bóg łaskaw! — pomyślałem sobie znów, stanąwszy z wozem w sieni — że dotychczas bez przygody prowadził człowieka — i na śmierć zapomniałem o tych złych myślach co mię trapiły, gdym szkaplerza przy odjeździe zapomniał. Odprzągnąwszy więc konie, wziąłem siana od stróża, obroku z worka nasypałem do żłobu, a siana za drabinę; a że

skrzynia z rzeczami po nieboszczyku była dobrze do woza przywiązana, więc bezpiecznie poszedłem sobie do izby, obmacawszy się w pasie, czy trzos dobrze trzyma.

Ledwiem drzwi otworzył i oglądnął się do koła, aż tu z kąta odezwie się głos:

— Wszelki duch pana Boga chwali! Jak się macie Grzegorzu!

Oglądam się, patrzę, siedzi ktoś w kącie w granatowej kapocie, ale że nie bardzo było jasno, więc nie mogę poznać.

— A cóżeścieto oczy i pamięć stracili? — odezwie się tamten wesoło, powstając z ławy.

— Bodaj cię, a toć pan Bartłomiej! — zawołam radośnie, skorom go lepiej ujrzał z twarzy, i uściskaliśmy się obydwaj serdecznie.

— A dokądże to? — pytam zaraz na wstępie.

— Ja, ot jak zwykle, na jarmark do Rzeszowa, a potem do Łańcuta z kłódkami. Ale z kąd wy mój Grzegorzu?

Więc ja proszę Bartłomieja siedzieć, kazałem dać po szklance miodu i opowiedziałem het jak i poco jeździłem. Przed kim innym nie byłbym tego wygadał, boć trudno dojrzeć z oczu jakiego kto sumienia, więc mógł był człowiek łatwo chciwość w drugim obudzić: ale co Bartłomieja to dużo ludzi znało z uczciwości. Był to mieszczanin ze Skawiny, kędy wyrabiają doskonałe kłódki; rozwoził on het po jarmarkach Skawiński towar i sprzedawał; a że ja to bywałem z nim w różnych interesach, więc znaliśmy się jak łyse konie.

Skorośmy sobie powiedzieli z Bartłomiejem co było ciekawego na razie, tak ja nuż się rozglądać po izbie, co też są za ludzie, i widzę koło stoła kilku gospodarzy wiejskich, we świtach jak się patrzy, a na przodzie dwóch w czapkach żołnierskich; jeden w surducie wytartym, spodnie długie i obtargane, a na nogach kamasze; zaś drugi w kusem i śmiesznem odzieniu, co go to f r a k zowią, a przytem niby białe spodnie i wysokie buty. Obadwaj rozparli się łokciami na stole, fajczyska w zębach, a przed nimi siwucha w kwartowym gęsiorku.

— Co to za ludzie? — pytam Bartłomieja.

— Bóg-że ich raczy wiedzieć! Jakieś przywłoki albo urlopniki.

— Posłuchajmy, co też mówią — odezwę się znowu, bom był okrutnie ciekawy co to są za ludzie. Jakoż zamilknęliśmy z Bartłomiejem i słuchamy.

— Szak ja był już aż na końcu świata — mówi jeden z owych urlopników — i nie mało sem napatrzyłem różnym mundurom! Szak byłem w Majlandzie, we Fenedyku, we Widniu, ale tam najgorszy dziad tak po głupiemu się nie ubiera, jak wy tu durne chłopy! —

— Ho, *halt bruder* — zawoła drugi — toć jakby którego z was postawił kole Majlandzisty, toby sem tak wyglądał jak leśna sowa kole gila!

— He, he, he — zaśmieli się wszyscy radzi z tego głupiego konceptu.

Nam tymczasem wypróżniły się szklanki, a że miód był trochę chrzczony i nie mocny, więc ja kiwnę na arendarza, żeby nam dał po drugiej. Bartłomiej nie chciał zrazu na to przystać, bardzo się drożył, że to na niego kolej postawić: ale skorom mu wytłumaczył że ja to wiozę spadek, co nam jak z nieba spadł, więc zamilkł. Żyd postawił miód przed nami.

— Co to za ludzie? — pytam się arendarza.

— A tutejsi, jeno przyszli niedawno od wojska — rzecze arendarz. — Ale to ostatnie łajdaki i pijaki.

— Patrzcież, patrzcie — odezwę ja się do Bartosza. — A toćby człek nie poznał że to swojaki, tak się to gdzieś na złodziei i nicponi wyprawiło!

— Ha cóż mój Grzegorzu! Jak się kto raz wprawi do lenistwa, a broń Boże jeszcze do złodziejki, ho ho, to już przepadł na wieki! Ależ posłuchajmy jeszcze co oni tam mówią.

Więc potrąciliśmy w szklanki i siedzimy cicho.

A tam ów dowcipny we fraku tak mówi:

— Szak ciebie jeden z drugim jeny postawić sem do prosa, a nie potrzeba stracha; a jak weźmiesz na wywrót barani kożuch na siebie, to cię nikt nie pozna czy baran czy człowiek? Ja sem inaczej ubrany; ja sem tak ubrany jak najwięksi panowie i grafowie we Widniu.

Po tych słowach skoczył ów urlopnik na izbę i okręcił się do koła, a skoro mu się one ogonki od fraka podwinęły, takci złapałem się aż za gębę od śmiechu, tak to pociesznie wyglądało, skoro jeszcze łatki i dziury z pod nich zaświeciły. Więc rzeknę półgłosem do Bartosza:

— Mój Boże, wszystkim zwierzętom daje pan Jezus ogonki, coby sobie miały czem poślednie części zakrywać; ale żeby sobie człowiek taki ogon samochcąc przyczepiał, a nie dostatnie okrycie, to rzecz niesłychana!

Słuchamy dalej, a drugi z owych urlopników odezwie się:

— A nie dosyć, że wy się ubieracie jak niedźwiedzie, w czapki baranie i rogate, ale też i panowie wasi rebelanty w rogate czapki i w kapoty ze sznurami się ubierają! Ho, ho, pokażemy my im co to znaczy rogata czapka, i co to cysarski wojak! —

Ha, dotychczas słuchałem cierpliwie, albom się uśmiechał; aleć teraz skoczyliśmy z Bartłomiejem oba na równe nogi.

— A cóż ty włóczykiju takeś tu gębę rozpuścił? — zawołałem, z całej siły pięścią w stół uderzywszy. — Żeś musiał z cielęcą skórą na plecach po cudzych krajach jak bosy pies wędrować, to teraz myślisz tu uczciwym gospodarzom przewodzić?! —

Moi urlopnicy chcieli się zrazu porwać zza stoła, ale skoro ujrzeli za mną Bartłomieja, co jest chłop setny i dziwnie wielkiej siły, tak przykuczli nazad na ławach: jeden świstał sobie i patrzał w okno, a drugi spuścił w dół oczy i kieliszek obracał w rękach.

— Cóż ty drągalu tu na panów wygadujesz? — zawołałem ja dalej; spojrzawszy im srogo w oczy. Każdy powinien szanować swoje ubranie, bo tak się jego rodzic i dziadek ubierali; a jak każdy ptak inne ma piórka, tak też czy Niemiec czy Polak czy Francuz, inaczej się ubierać powinni! Panowie jak byli chłopami, to się tak ubierali jak my, a skoro im Pan Bóg poszczęścił że zostali panami, to dobrze skoro się dawnego zwyczaju trzymają i nie porzucają ani kapoty ani czapki rogatej! Ja jestem chłop, Mazur czystej wiary, i mojej kapoty i magierki

nie porzucę jak świat światem, i prędzej bym sobie głowę dał ogolić, niż cobym miał wdziewać na się takie oto pludry! —

To mówiąc pokazałem na frak palcem, a twarz obróciłem ku gospodarzom. Cicho było, nikt się nie odzywał, jeno niektórzy przytakiwali głowami, a inni się uśmiechali radośnie, żem tak nosa utarł onym urlopnikom.

Więc ja nagroziwszy im jeszcze, żeby mi tak więcej gęby nie rozdziawiali, poszedłem z Bartłomiejem do naszych szklaneczek, trąciliśmy i wypili do reszty; Bartłomiej chciał gwałtem trzecią postawić, ale jakem mu zaczął rozgadywać, żeby to było za dużo, tak dał spokój, a wstawszy rzecze:

— Ha, dobrze mi tu z wami mój Grzegorzu, ale trzeba w drogę! —

— Jakto? wy jedziecie pod noc? — zagadnę żałośnie.

— Cóż robić? muszę, muszę, mój kumotrze, bo do Rzeszowa sztuka drogi, a jutro się już jarmark zaczyna.

Nato ja:

— Mnie tam nie pilno, więc bym chciał przenocować, ale nie wiem czy gospoda pewna? —

— Śmiało możecie nocować, jak we własnym domu! — rzecze Bartłomiej. — Żyd człowiek uczciwy i porządny.

— Ha, na takie wasze zaręczenie, zostanę.

— Nocujcież z panem Bogiem!

— Szczęśliwej drogi Bartoszu — rzekłem, a Bartłomiej siadł na wóz, zaciął konie i zniknął mi z oczu.

Że to już było dosyć późno, więc ja nie poszedłem więcej do szynkowni, ale odrazu do swojego wozu, a ujrzawszy że wszystko było w porządku jak się patrzy, rozesłałem słomę na wozie, i jak to co wieczór mam we zwyczaju, odmawiałem sobie: kto się w opiekę. Niebawem też zebrała mię senność, więc się położyłem, słyszałem jeszcze chwilkę jak konie obrok gryzły i parskały, a potem już nic.

Nie wiem, czy dlatego żem dwie szklanki miodu wypił, czy to że mię one urlopniki tak rozgniewały, dość że nie zadługo potem jakem zasnął, dziwne i straszne sny zaczęły mię trapić. Owóż zdało mi się że jestem gdzieś w obcym, zamorskim kraju, w przeokropnem mieście na rynku. Spoglądam w około siebie, a

tu co człowiek to w kusym fraczku, na nogach trzewiki jak u baby, a kręci się to wszystko jak wrzeciona. Smiech mię wziął okropny na on widok; stanąłem, podparłem się w boki patrząc, a tu mi się aż bruch od śmiechu trzęsie.

— He, he, myślę sobie — tać to jak wróble na przednowku, i suche i kuse.

Aleć skoro ja sobie tak stoję, zebrali się też i owi ludzie wedle mnie, i nuż mi się wydrzyźniać i śmiać się z mojego ubrania. Zrazu śmieliśmy się razem, oni z mego ja z ich, ale jak mi już tego dosyć było, tak ja zabieram się, chcę iść, patrzę, a tu całe tłumy ludu na około mnie, i ani rusz; co krok postąpię, to znowu stój. Wołam, proszę, krzyczę — gdzie tam, nic nie pomaga; tak też mię złość porwała, jak nie machnę kijem koło siebie, a tu mi się jeno ręka zerwała, bom machnął jak w czyste powietrze. Więc splunąłem w garść, i chwycę kij w obie ręce, macham i macham, widzę na żywe oczy, po frakach, a tu nic nie czuć jeno szczere powietrze. Już mię też rozpacz zaczęła ogarniać, zły i ledwo żyjący od zmęczenia myślę sobie:

— Ha, niech już co chce będzie, pójdę się na ich modę ubrać, żeby się na mnie nie gapili, bo już trudno wytrzymać.

Skręcam więc do sklepu, wyciągam z trzosa garść cwancygierów, i każę onemu Niemcowi, żeby mię ubrał w frak, w trzewiki i w długie spodnie. Jakem rzekł tak się zaraz i stało. Wychodzę, chwała Bogu nie ma nikogo przed sklepem; ale jenom postąpił kilka kroków, a tu niby z wieży z wysoka ozwie się głos gruby:

— Zakląłeś się Grzegorzu, że rychlej byś sobie głowę dał ogolić, niż w kusy frak ubrać! Ogolcież mu głowę!

Na te słowa patrzę, a tu leci cała gromada z postronkami, z brzytwami i nożami, a obces na mnie. Nie wiele też myśląc macnąłem się za głowę, a widząc że cała, dalejże w nogi przez domy i drzewa aż kurzy!

— Mój Boże — myślę sobie, a coby też moja Małgosia rzekła jakby mię z ogoloną głową zobaczyła. — I dalejże co prędzej, drę aż nóg nie czuję.

Jak też sobie tak lecę, zda mi się w tył spojrzeć, a owi golarze za mną; patrzę przed siebie, a tu rzeka szeroka jak morze.

— Tfu, bodajcie! — złość mię porwała. — Niech się co chce stanie, pójdę w bród przez wodę. Skoczyłem — brrr... woda zimna jak nieszczęście! Więc kulę nogi pod siebie i lecę, skoczyłem wreszcie na drugi brzeg, a tu już i trzewików na nogach nie ma, w wodzie gdzieś zostały.

— A niech cię tam licho porwie! — pomyślałem i chcę lecieć dalej, a w tej chwili łoziny przeokropne stanęły mi w drodze. Rzucam się, przedzieram, gdzie tam, ani rusz! W pasie mię schwyciło, ażem się obrócił, i skrępowało do reszty.

— No — myślę sobie — teraz będzie koniec! -- boć właśnie i owi golarze przez rzekę przelecieli. — Ale nie, nie dam się, żebym miał trupem paść! — I wyciągam ręce, i chcę się bronić, a owi jak mi nie zarzucą postronek na szyję, jak nie szarpną... ażem się obudził..

Obudziłem się, przecieram oczy, jakieś dwa czarne cienie przedemną na wozie; więc zerwę się, rzucę ręką i złapałem za coś. W tej chwili świsnęła mi jakaś paliczka koło ucha, ale szczęściem nie trafiła nigdzie; więc ja krzyknę wielkim głosem: — Złodzieje! — i zerwę się na równe nogi.

W tej chwili coś czarnego skoczyło na obie strony woza, zostawiwszy mi w ręce to za com uchwycił. Na mój krzyk stróż zaraz zaświecił latarkę, inni furmani się też pobudzili, a wtedy patrzę ja po sobie: a tu butów na nogach nie ma, trzos trzymam w ręce, a płótnianka zawieszona na sznurku od szkaplerza. Ażem się przeżegnał od strachu, aleć wnet nie wiele myślący opasuję trzos i lecę za innymi ku bramie.

No, i zgadnijcie coś my tu złapali? — Oto złapaliśmy za nogi owego urlopnika we fraku, jak się właśnie dziurą we wiązaniu wymykał. Niedaleko od bramy leżały moje buty. Zaś na strychu w sianie znaleźliśmy drugiego ptaszka. Więc krótka sprawa: związaliśmy sznurami jak baranów, i jeno się rozwidniło, zawieźliśmy do mandatara (boć to jeszcze wtedy mandatary po wsiach bywali), a on też ich zaraz zamknął do kozy, i napisał o tem do regimentu.

Ja gorąco dziękowałem panu Bogu, że się to na tem cała przygoda skończyła, a zapłaciwszy co się należało, zaprzągłem koniki, i dalej wio! do domu. W drodze dopiero cała rzecz dobrze mi się wyjaśniła. Oto jak mi te draby ściągnęły buty, to mnie się śniło, że ja przez wodę brodzę, i z chłodu kuliłem nogi pod siebie; a jak mi trzos odpinali, to ja niby zawikłałem się w pasie między owemi łozinami. Ale na ostatku było najcudowniej, bo owo jak im jeszcze tego dość nie było, i zdjęli mi płótniankę, tak za łaską Bożą haftka od płótnianki zaczepiła się o sznurek od szkaplerza, i jak z nich któryś chciał porwać odzienie, tak i mnie szarpnął sznurkiem za szyję tak mocno, żem się aż obudził. Cudownym więc sposobem obroniły mię szkaplerz i haftka od wielkiego nieszczęścia, za co niech i dziś będzie panu Bogu chwała!

Spokojnie i szczęśliwie zajechałem już ztąd do domu. Radości było nie mało z mojego powrotu, i z tego żem się na Rusi dobrze sprawił; ale co najwięcej uciechy to było dopiero wtedy, gdym Małgosi opowiedział cały ów przytrafunek w Nienadowskiej karczmie!

— A widzisz, co to szkaplerz! rzekła moja plaskając w ręce.

— Ba — odezwę ja się — a gdybym nie był miał płótnianki z haftkami jeno jaki frak kusy, toby mi także nie było pomogło! — i ucałowałem z radości moją kobiecinę.

Później, w jesieni, że pieniędzy było dosyć, więcem odwoził Franusia do Krakowa do szkoły. Małgosia płakała, ot zwykle jak niewiasta, a ja tak mówił do Franusia:

— Pamiętaj chłopcze, żeś się na polskiej Ziemi urodził, w chacie wiejskiej i z ojca kmiecia wiejskiego. Miej w miłości ziemię i tę chatę, i w poszanowaniu zwyczaje ojcowskie, a nawet tę magierkę i tę kapotkę co ją masz na sobie, bo to wszystko świadczy, żeś ty nie Niemiec ani Moskal, ale na tej tu naszej Ziemi zrodzony. Może ci trudno będzie iść w grubej gurmanie między pańskie syny, to każ sobie z cieńszego uszyć sukna, ale tym samym krojem z haftkami i pętliczkami, żeby ci każde spojrzenie przypominało zkądeś wyszedł i czem jesteś! —

I dotrzymał Franuś rzetelnie mojej rady, za co niech go pan Bóg błogosławi.

RÓŻNOŚCI.

Szarańcza. Nie pomogły deszcze ani zimna wiosna do wygubienia szarańczy, która zeszłego roku jaja swoje u nas zakopała. Już od połowy przeszłego miesiąca lamentują gospodarze na Podolu i Ukrainie, że mnóstwo szarańczy ze ziemi wyłazi, i aż czarno po polach, tyle tego paskudstwa skacze. Robią tam ludzie co mogą, ażeby tę plagę wytępić, aleć kto wie czy ona i dalej nie powędruje, zwlaszcza jak dostanie skrzydła, bo wtedy nie tak ją łatwo wygładzić. Trzeba się więc mieć na baczności i na pogotowiu, jakby przyleciała; co zaś z nią robić, o tem napisałem wam już rok będzie prawie, na samym początku IIIgo Tomu Dzwonka. Przeczytajcież sobie uważnie to co tam stoi, a zresztą może też urzędy i co lepszego wymyślą; na wszelki przypadek niech was pan Bóg ma w swojej opiece i ochroni od tej plagi, a jeżeli już dotknął, to niech w czem innem szkodę stokrotnie wynagrodzi!

Kometa. Widujecie już pewnie od kilku dni nocą na niebie podle gwiazd, co to się zowią wozem Dawidowym, jasną jak jutrzenka gwiazdę, za którą się wlecze jasność niby miotła długa, z promieni nawiązana. Taka gwiazda z ogonem nazywa się *kometą.* Bo to trzeba wiedzieć, że są różne gwiazdy: jedne ciągle na jednem stoją miejscu, i te się zowią *gwiazdami stałemi;* taką też jest nasze słońce. Inne gwiazdy kręcą się koło takich gwiazd stałych, i od nich biorą światłość i ciepło, te się zowią: *planetami*, a taką planetą jest ziemia nasza i owa piękna jutrzenka. I znowu około tych planet kręcą się jeszcze gwiazdy, i od planet biorą światło, a te się zowią *księżycami*, jakim jest nasz księżyc czyli miesiąc. Ale prócz tych są jeszcze inne gwiazdy, które chodzą luzem po niebie, jak włóczęgi, długi ogon ciągnąc za sobą; te się zowią: *kometami.* A tu skoro się zjawi taka ognista miotła na niebie, to ludziska ciemne się zaraz strachają, a głupie baby wróżą, że to znaczy pomor, wojnę, głód, i Bóg wie jakie jeszcze nieszczęścia. I zawsze wywróżą: bo jużcić gdzieś na świecie zawsze się takie nieszczęścia trafiają; nie tu, to tam, czy to kometa pokaże się na niebie czy nie. Ale pojrzyjcie koło siebie, a obaczycie, że pijaństwo, lenistwo, kłótnie w chałupie, w gromadzie, i między panem a chłopem, między monarchami a ludem — to straszniejsze jak kometa: bo gdyby nie było tych kłótni, tego pijaństwa, lenistwa, to nie byłoby nigdy wojny, pomoru i gło-

du, choćby sto naraz mioteł ognistych na niebie zaświeciło.

Grady i nawalnice. Nie tylko drogą a biedną ziemię naszą ojczystą nad Wisłą, Sanem, Dniestrem, Bugiem i litewskim Niemnem, nawidzały tego czasu srogie grady i nawalnice, ale i te ziemie, kędy mieszkają Węgrzy, Niemcy, Francuzi i Włosi.

Trafiła kosa na kamień. Król polski *August drugi*, a będzie temu lat sto pięćdziesiąt jak on panował w naszej ziemi, taką miał wielką siłę w rękach, że łamał najmocniejsze podkowy, a srebrne kielichy gniótł w palcach jak wosk nieprzymierzając. Nikt mu też długo nie mógł sprostać; aż ci raz przecież trafił na swojego. Owóż posłuchajcie jak to było.

Za prostego człeka przebrany, jechał sobie pewnego razu król August na koniu, a tak przyjechawszy do małej wioski, zawołał kowala i kazał sobie konia podkuć, bo przez drogę zginęło dwie podkowy.

— Tylko zrób mocno, żeby się prędko nie połamały! — zawoła król na kowala.

— Oho, tego mi nie trza powiadać! — rzecze kowal, chłop sążnisty, nie poznawszy króla — i sam djabeł nie rozłamał by mojej podkowy! —

— No, no, zabaczymy! — odrzekł król August i uśmiechnął się tylko.

Nie minęła godzina, aż ci tu kowal niesie już podkowy gotowe.

— Są, jak pieniądz! — zawołał majster i brzęknął jedna w drugą.

Król spojrzał i nic nie mówiąc bierze za jedną -- prach! — złamał; więc huknie na kowala:

— Cóż ty drągalu sobie myślisz, że mi takie podkowy dajesz jak opłatki! Róbże coprędzej inne!

Zdziwił się strasznie biedny kowalisko i poszedł do kuźni kuć inne podkowy, a niewiele czasu minęło, sunie już ze świeżemi. Aż zsiniał nieborak od strasznej pracy, abyć już były jak się patrzy i mocne i twarde. Ale król nie próbował już tą razą, jeno każe corychlej okuć konia. Wnet się też sprawił kowal i przychodzi po zapłatę, a król sięgnie do kieszeni, i wyjąwszy dwa talary rzuci je na stół.

Brzękło srebro i zaświeciło; kowal popatrzył na pieniądze, oglądnął, a wreszcie chwycił jeden — prach! — rozłamał; chwycił drugi — prach! — rozłamał i zawołał:

— A jakież mi to talary dajecie łaskawy panie, tać to jak opłatki! — i nuże się śmiać z całego garła.

Pomiarkował się zaraz król, że trafił na swojego; więc rzucił kowalowi cały worek z pięknemi, bitemi talarami, i odjechał. A majster śmiejąc się jeszcze głośniej, brzęknął workiem i zawołał za odjeżdżającym:

— Trafiła kosa na kamień! —

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.